

# BARBARZYŃCY U BRAM

(fragment niepublikowanej jeszcze powieści)

Stanisław Srokowski

## ROZDZIAŁ XV: NARADA JĘZYKOWA

Zgodnie z tajnymi instrukcjami Prezydenta, na naradę zaproszeni zostali ludzie z bardzo wąskiego klucza, a mianowicie: władze wojewódzkie partii Kariera i Sukces, najważniejsi notable, marszałek Sejmiku, najwierniejsi radni, zaprzyjaźniona profesura i, ma się rozumieć, liberalni i postępowi artyści, dziennikarze i pisarze. Słowem, elita intelektualna miasta i regionu. Nikt ponadto. Zgodnie z ustaloną doktryną naukową, elity stały się solą tej ziemi. I właśnie ściągają teraz do sali obrad Urzędu Miejskiego na drugim piętrze.

Jako pierwszy wkroczył dziarskim krokiem wojewoda Migotek. Od razu zajął godne jego pozycji miejsce w pierwszym rzędzie. Słynny siny nos budził powszechne zainteresowanie, bowiem jak barometr wskazywał klimat panujący aktualnie w jego instytucji. Gdy nos nabierał odcienia różowego, wiadomo było, że klimat jest gorący, gdy szedł w stronę zieleni i żółci, temperatura stawała się umiarkowana, natomiast czerwień i bordo wskazywały na szalejącą spiekotę, nadchodzące sztormy i walące pioruny. Tym razem nos wojewody przybrał kolor niebieski, dodajmy, wręcz fioletowy, spłaszczyl się i już wiadomo było, że wojewoda miał ciężką noc. Tym bardziej, że i oczy miał podkrążone, a cerę nieprzyjemnie ziemistą.

Dołączył do niego marszałek Sejmiku Wojewódzkiego, Bazyli Gbura, o białych policzkach, cienkich ustach i ciemnych okularach, które zdjął, by zlustrować nos wojewody.

- Widzę, Leon – odezwał się z kwaśnym uśmiechem, ściskając mu dłoń - że nie próżnowałeś tej nocy.

Wojewoda zimno odparł:

- Nie dorównuję tobie, Bazyli.

Ale natychmiast odwrócił się, bo usłyszał rosnący zgiełk i harmider wchodzących małymi grupkami intelektualistów, żywo z sobą o czymś rozprawiających. Przebijał się już krzykliwy głos wpływowej w mieście radnej z klubu Prezydenta Rój Przyszłości, znanej dziennikarki radiowej i telewizyjnej, Niusi Jeżozwierz, która wpadła na naradę jak burza i od razu narobiła szumu, rozgłaszając wszem i wobec, że właśnie kupiła nową torebkę i zaczęła ją pokazywać każdemu, kto się napatoczył. Intelektualiści nachylali ku sobie głowy i coś ważnego szeptała do uszu. Nagle zrobiła się cisza, bo wchodził Prezydent w otoczeniu śmietanki naukowej. Niusia już biegła ku niemu. Jego zwykle posepna i gnuśna mina ustąpiła powadze i dostojności, a z oblicza promieniowało ciepło, zrozumienie i życzliwość dla świata. Z oczu bił świetlany blask, zachwycała królewska postawa, męski prężny krok, głowa uniesiona do góry i spojrzenie pełne optymizmu.

- Och, pan Prezydent – pisnęła z uwielbieniem radna Jeżozwierz.

A radna Stulęga zacisnęła kolana.

- Pan Prezydent, pan Prezydent – niosły się szepty. Jednym z najpoważniejszych, jak wieść gminna niosła, kandydatów na premiera. Dlatego każde dziś słowo Prezydenta miasta stawało się słowem premiera kraju.

Obok Prezydenta szedł wielki autorytet moralny, profesor Pszczoła, który budził powszechny podziw, jako najwybitniejszy językoznawca naszej ery, a zarazem unikalny komentator telewizji publicznej. Towarzyszyli mu - profesor Bzik, historyk literatury, krytyk sztuki i znawca piękna, prof. Cudrak, głośny matematyk i szef klubu Intelkt i Postępowa Wibracja Mózgu oraz prof. Pingwin, politolog o oryginalnym umyśle literackim. A pochód zamykała persona z twarzą, proszę to zauważyć, tępą i gburową, karkiem bawołu, nosem tłustym i lśniącym, o nieco kocim, a nieco psim wyglądzie, z mordką królika, uszami osła i nosem kozła. W hierarchii ważności zajmowała piąte miejsce, co je nagle wyniosło na szczyt życia intelektualnego grodu.

Prezydent najpierw powitał profesora Pszczołę, o którym powiedział, że rozsiewa wokół siebie światło postępowego języka, a potem przedstawił dr hab. Hiacynta Ślizga, właśnie ową dziwną osobę, która, Wysoki Sądzie, nie była typowym naukowcem, ale zbieraczem, jeśli się tak można wyrazić, językowej prawdy. Ów mąż, pracując w spółdzielczości, powiedział Prezydent, udowadnia, iż na tak wysokie stanowiska partia Kariera i Sukces deleguje osoby o najwyższych kwalifikacjach lingwistycznych.

Zgromadzona na sali sol ziemi wyciszyła się. Szum ustał. A Prezydent długo się nagle umilkłej sali przyglądał.

„Uśmiech Bon, tylko uśmiech”, przemówił do siebie. I uśmiechnął się.

I sala się uśmiechnęła. Miał ją pod kontrolą.

Uniósł rękę i wskazując mównicę, poprosił prof. Pszczołę o wygłoszenie referatu pt. „Zdobycze teoretyczne językoznawstwa a wymagania nowej epoki”.

Profesor wchodził na mównicę lekko zgarbiony. Spod jego mongolskiego oblicza uśmiech przedzierał się z trudem, rysy zwierały się, a szczeka lekko drżała.

- Proszę państwa – już wykladał, modulując głos i sprawdzając jak brzmi, oddalając się od mikrofonu i przybliżając – chciałem zacząć od cytatu...

Wiedział, co robi. Wszyscy wielcy uczeni zaczynali od cytatów, jakby siebie usuwając w cień.

- Otóż znany badacz języka – kontynuował - Russ Rymer powiedział – w tym miejscu prof. Pszczoła nie zajął do żadnej kartki, nie spojrzął nawet na dłoń, na której byłaby wypisana ściągą, tylko walił prosto z mostu: *Lingwistyka jest prawdopodobnie istotą, wokół której w akademickim królestwie trwają największe spory. Jest przesiąknięta krwią poetów, teologów, filozofów, filologów, psychologów, biologów, antropologów i neurologów, razem z ich krwią czerpana jest również krew gramatyków.*

Na chwilę przerwał, by się nasycić skrzypieniem wiecznych piór, błyskaniem fleszy i światłami telewizyjnych reflektorów.

- Krwiobieg języka – znowu głosił – podobny jest do naszego krwiobiegu. Ma swoje naczynia krwionośne, żyły, aorty, tętnice, serce... A wielu uczonych sądzi, że np. nasz mózg zawiera w sobie coś jakby moduł językowy...

- Co to znaczy? – krzyknęła redaktor Jeżozwierz.

- To znaczy, droga pani redaktor – wyjaśniał – że mózg został w ten sposób zaprojektowany, by przewidział rodzaje się w nim struktury językowe. I przygotował dla nich miejsce, jakby sale porodowe, wyrażając się językiem medycyny - tu spojrzął na chirurga Kobiałkę, który mu się uklonił. – Chodzi o to, że nasz mózg jest gotów do przyjęcia wszystkich struktur językowych, bowiem posiada jakby bazę uniwersalną dla wszystkich języków świata...

- Nawet chińskiego? – włączył się Marszałek Sejmiku, niegdyś amator recytator i teraz chciał się wykazać zaangażowaniem językowym. – Mam na myśli, czy ja, Polak, bez trudu mogę się nauczyć chińskiego?

Na słowo „Polak” Prezydent gorzko się skrzywił. „Ja Polak”, wyduł z pogardą usta. „Ja Europejczyk, to co innego. Ale ja Polak?” – wyraźnie był niezadowolony. Nie znosił Gburey. A poza tym, uważał go za wtyczkę narodowców w jego partii i zamierzał się z nim rozprawić. A wiadomo było, co znaczy narodowiec: ciemnota, wsteczność i zabobony.

- Oczywiście, panie Marszałku – odparł z należytą powagą profesor. – Może się pan uczyć równocześnie chińskiego, japońskiego, szwedzkiego i litewskiego, ponieważ gniazdo, w którym wylęgają się języki, jest bardzo pojemne. Rzecz można, jest to coś w rodzaju gniazda w gnieździe, a w tym gnieździe jeszcze jedno gniazdo.

- A gdy się nie uczy my języków? – dociekliwie spytał chirurg Kobiałka.

- To gniazda czekają aż dojrzejemy.

Sala wybuchła śmiechem. Skonfundowany Kobiałka uznał, że już nie będzie o nic pytać, bo za trudna to dla niego materia. Schował się za plecy profesora Pingwina i zajął się przeglądaniem własnych dłoni.

- Krótko mówiąc – ciągnął profesor Pszczoła- istnieje coś takiego jak genotyp języka... znaczy... - zahałał się, ale zaraz kontynuował: - ...jak to bywa z genotypami – uśmiechnął się cierpko - organizmy nieraz się wypaczają, zatracają pierwotny sens i rodzi się w nich coś w rodzaju zrogowacenia, martwicy językowej, można powiedzieć - raka ...

- Raka języka? – nie wytrzymała redaktor Jeżozwierz.

- Mniej więcej – tłumaczył profesor. - Język wymaga leczenia – stwierdził. - I to jest, proszę państwa, sedno mojego wykładu. Język nie może być źródłem konfliktów, napięć i antagonizmów. Język ma budować, a nie niszczyć. Łączyć, a nie dzielić. Czynić nas lepszymi, a nie gorszymi. Czyż nie tak?

- Tak... – poniosło się po sali. Widział, jak kwiat intelektualny miasta kiwa głowami.

- Więc język ma być sam w sobie – wykladał - czysty. Wewnętrznie wolny. By nie miał takich pojęć, które dzisiaj nam doskwierają i niszczą wspólnotę. Powodują tragedie, wojny i kataklizmy. Powiem wprost, nasz pierwotny, najwcześniejszy świat nie znał konfliktów zrodzonych z języka. Bo nie używał słów konfliktogennych. A dlaczego nie używał? – rzucił spojrzenie po sali. - Dlatego, że nie miał ich w swoich zasobach językowych. A nasz świat zna konflikty wyłącznie zrodzone z języka! – głos profesora nabrał tonów ostrzejszych. – I to jest dramat naszych czasów! – wołał - Język staje się źródłem zła! - zaciskał pięści. - Źródłem agresji, terroru i nienawiści.

Sala zamarła. Było tak cicho, że audytorium słyszało świszczący oddech profesora.

- Wiek XXI będzie wiekiem języka bezkonfliktowego albo nie będzie go wcale – rąbnął pięścią w pulpit. - Dość mamy starego świata - krzyknął, aż redaktor Jeżozwierz poderwała się z miejsca. Ale zaraz usiadła. - Nasz język wypacza sens życia w wolnej Europie! – grzmiał. - Nie chcemy języka, który dzieli i podsycza waśnie. A nasz język powoduje ataki, wojny i zbrodnie! – walił w oczy. Czoło zrosił mu pot. Szczeka nerwowo drgała. Twarz tężała w gniewie.

Prezydent tylko zacierał ręce. Był zachwycony wykładem. O to mi chodzi, o to mi chodzi, szeptał do siebie.

- Nasz język – wołał wzburzony profesor – to nic innego, tylko pętla nad naszą głową! – ryczał. Sala aż się cofnęła. A redaktor Jeżozwierz z przerażeniem uniosła głowę, bojąc się, że pętla języka już się zaciska na jej szyi. Profesor widział, że wykład robi wrażenie. Intelektualiści ukradkiem zerkali za siebie, jakby sprawdzając, czy jest jeszcze jakiś ratunek przed strasznym językiem, który czyha na nich ze wszystkich stron.

- Język, który sieje nienawiść, jest językiem faszyzmu! – zaatakował profesor. - Taki język musimy zlikwidować.

- Ale jak?! – jęknęła zdeterminowana redaktor Jeżozwierz, gotowa zlinczować faszystowski język.

- O tym za chwilę – odparł profesor i rozkoszował się własnymi słowami. A to dopiero początek, pomyślał. A co będzie, jak skończę?! - już widział siebie w glorii oklasków.

- Ale nie skończysz! – nagle usłyszał. I zobaczył widmo przed sobą. Przed nim na mównicy stał czerwony kogut i przemówił:

- Nie skończysz, draniu, tego wykładu!

Profesor zsiniał i unióśł ręce, jakby się broniąc przed intruzem, ale o dziwo, intruz nagle zniknął. Gdy profesor przetarł oczy, a potem znowu otworzył, nikogo, ma się rozumieć, nie było. To z nerwów, szybko sobie wytłumaczył, nabrał powietrza i z jeszcze większym zaangażowaniem wykladał:

- A teraz przeanalizujemy kilka terminów, które nie łączą, a dzielą, czyli nie są proeuropejskie.

Pióra przestały skrzypieć. Aparaty cyfrowe zamilkły. Głowy, jedna po drugiej, unosiły się do góry, a oczy pochłaniały jaśniejące mądrością oblicze profesora. Czulo się wielkie oczekiwanie

- Proszę państwa – odezwał się znowu profesor - weźmy pierwszy z brzegu przykład, który padł na tej sali. Intelktualści wstrzymali oddechy.

- Otóż pan Marszałek, Bazyli Gbura, był uprzejmy, o ile pamiętam, wyrazić się następująco: Ja, Polak... Czyż nie tak, panie Marszałku? – szukał go wzrokiem.

Marszałek odparł:

- No tak?! Ja Polak. A co? – nie rozumiał do czego profesor pije.

- Proszę państwa – mówił jakby zakłopotany profesor. – Pragnę na początku, rzecz jasna, się zastrzec, że nie ma w tym ani chrzty winy pana Marszałka.

- Jakiej winy?! - burknął Marszałek, ale poczuł, że robi mu się gorąco.

- Właśnie wyjaśniam, że nie ma w tym ani chrzty winy pana Marszałka – wpatrywał się w niego profesor. Jeszcze się zobaczy, mściwie pomyślał Prezydent.

- To sprawa paradygmatu językowego... - skinął profesor głową.

- Czego? – nie dosłyszał Marszałek.

- Mówię o paradygmacie językowym – powiedział głośniejszym głosem profesor.

- O jakim paradygmacie?! – obruszył się Marszałek. – Nie mówiłem o żadnym paradygmacie! – poczuł jak druga fala gorąca uderza mu w kark i obejmuje ciało.

- W tym sęk, panie Marszałku, że pan nie mówił o paradygmacie, ale jakby ten paradygmat wygenerował...

- Niby co? – Marszałek wbijał ciężkie spojrzenie w twarz profesora.

- To znaczy – jowialnie tłumaczył profesor - wcielił w życie...

- W jakie życie!? – Marszałek był wyraźnie zdenerwowany.

Ale i profesor czuł na sobie ciężar tego zwarcia. W końcu to Marszałek. Nie byle kto. Wysoka władza.

Najwyższa w województwie. Muszę się z nią liczyć, pomyślał. Ale mleko się rozlało. Idę na całego. Gdyby coś nie tak, Bonawentura mnie obroni. To on tu rządzi, a nie, nomen omen, Gbur-a – zjadliwie się uśmiechnął. I uświadomił sobie, że też go nie kocha. To uświadomienie natychmiast zmieniło jego postawę. Szepnął do siebie: - Spadł mi z nieba. To moja wielka szansa. Nie będę się cackać. Jak przełknę tę gorzka pigułkę, potem będzie już tylko łżej. Chwilę pomyślał i uznał, że zwrot „spadł mi z nieba”, nie był zbyt fortunny. Bo „niebo”, wiadomo, słowo obcego chowu. Na szczęście nikt go nie słyszał.

- Wcielił pan, panie Marszałku, w życie – wrócił do tematu - niesłuszny paradygmat językowy, który ludzi dzieli, a nawet antagonizuje, powoduje ostre konflikty... skłania do agresji... - wyszukiwał nowych, ostrych terminów.

- Wypraszam sobie takie uwagi! – warknął Marszałek. – Pan chyba zwariował!?

Sytuacja stawała się groźna. A Marszałek poczuł, jak trzecia fala gorąca zalewa mu twarz. I już się pociał.

- Panie Marszałku, jesteśmy wśród swoich i nie ma powodu, by się Pan obrażał - powściągliwie rzekł profesor.

- Ja nie tego... – Marszałek wciąż był nadąsany.

- Dałem pana przykład, ponieważ Pan, jako depozytariusz języka, sam użył tych nieszczęśliwych pojęć...

- Jakich znowu nieszczęśliwych?! – w Marszałka wstępowały demony gniewu.

Profesor zwrócił się do audytorium.

- Czy słyszeli państwo jak pan Marszałek powiedział: - „Ja, Polak”?

Pierwsza rzuciła się do odpowiedzi redaktor Jeżozwierz.

- Pewnie, że słyszeliśmy – oskarżycielsko rzuciła.

- I co z tego? - buńczucznie odezwał się Marszałek. - Nie wolno?

No, brnij dalej, cieszył się Prezydent, tłumiąc śmiech.

- Wolno – odparł profesor. – Tylko...

- Tylko co?! – zuchwale wpatrywał się w niego Marszałek. Czuł, że za tym kryje się coś złego. Tylko nie wiedział, co.

A profesor najspokojniej na świecie tłumaczył:

- Otóż, panie Marszałku, proszę się nie obrażać... - znowu sala usłyszała pojednawcze tony.

Co on?! - w duchu karcił profesora Prezydent. Zląkł się tego cymbała?!

Ale jakże się mylił. Nie znał perfekcyjnych metod polemiki uczonego. Dopiero po chwili przekonał się, z jaką maestrią i niuansami nauki ma do czynienia. Właśnie profesor ostrzył brzytwę.

- Słowo, Polak, niszczy i degraduje! – zaatakował z furią.

- Co? Jak?! – Marszałka jakby obuchem wałnął. - Polak!? – chwycił się za głowę. – Niszczy i degraduje?

- Tak, panie Marszałku. – Polak niszczy i degraduje. Powiem więcej, Polak powoduje same nieszczęścia, wojny i katastrofy. Czas z tym skończyć! – nacierał profesor. - Jesteśmy w Europie. W środku kontynentu. W Unii Europejskiej – wyliczał.

- I co z tego?! – wycharczał Marszałek.

- A to, że jesteśmy obywatelami wielkiej rodziny europejskiej. I nie ma już Polaka. Jest obywatel. Obywatel, proszę państwa, Europejczyk! – grzmiał profesor. - Pora najwyższa sobie to uświadomić. – Odetchnął chwilę i perorował: - Obywatel, elektor, użytkownik, wyborca, członek Unii Europejskiej, towarzysz. Te słowa się liczą, a nie Polak. Bo one nie dzielą. Obywatel jest każdy. Elektorem, użytkownikiem i wyborcą też. A przede wszystkim towarzyszem! Towarzyszem, towarzysze! – ryknął nagle prof. Pszczoła. I wytarł pot z czoła. Przez chwilę zastanawiał się i dodał: - Eliminujemy pojęcia, które konfliktują. Nie będzie więc Polaka. Będzie towarzysz, Europejczyk, obywatel ...

- I obywatelka!? Europejka!? – krzyknęła feministka Czupryło. – Równość płci!?

- Słusznie, obywatelka, Europejka! – wspomogła red. Jeżozwierz.

- Zgadzam się, drogie panie – wsparł je profesor. – O to nam chodzi. Obywatele i obywatelki! Te słowa nie dzielą, a łączą. Rozumiecie?

- Rozumiemy! – odkrzyknęły elity. Ma się rozumieć, poza szkodnikiem społecznym, Marszałkiem. Bo ten ciągle był naburmuszony.

- Czas przyspieszyć procesy integracyjne – niósł nową ideę profesor. - Pojęcia zabarwione negatywnie eliminujemy. Czas najwyższy zapomnieć o Polaku... – zawahał się i strzelił - i o Polsce! – urwał i czekał na reakcję

Marszałkowi zdawało się, że się przesłyszał. A sala milczała. Jakby sparaliżowana, połamana i wypatroszona.

Prezydent miasta, widząc jak Marszałek wije się w rozpacz, zacierał tylko ręce. Już go mam!, mściwie zaciskał usta. Pszczoła mi go na widelcu podaje. Już go obrabia. Widzę, jak latają mu oczka...

Marszałek istotnie dziwnie się zachowywał. Machał rękami, chwycił się za serce, otwierał usta, ale nie mógł złapać powietrza. W końcu zbladł, wargi mu zsiniały, na ustach pojawiła się piana, zachwiał się i upadł.

Sala oniemiała.

Gdy karetka zabrała Marszałka, a intelektualiści doszli do siebie, profesor ciągnął, jakby się nic nie stało, tylko aluzyjnie wspominając drobny epizod.

- To może i dobrze – zaczął akt drugi. – Nieraz potrzebne jest jakiś wstrząs, by oczyścić teren. - Musimy – kontynuował – zrozumieć, że odrzucając stary język, odrzucamy stary świat. Bo świat jest zapisany w języku.

Redaktor Jeżozwierz tak była porażona odkryciem, iż świat jest zapisany w języku, że aż ręka się jej trzęsła. Trzy razy podkreśliła tę myśl. „A więc język! Tylko język! I wyłącznie język!” – dopisała własne uwagi.

Feministka Czupryło też intensywnie notowała.

- Nowa filozofia społeczeństwa! – rzuciła eurodeputowana Heredere.

- Tak, pani Luizo – usłyszawszy ją profesor, familiarnie zwrócił się do niej. - Nowa filozofia społeczeństwa – uniósł palec do góry.

- Nie narodu, a społeczeństwa! – z mocą zaakcentowała feministka Czupryło.

- Bardzo dobrze pani to ujęła, nie narodu, a społeczeństwa – profesor przyznał jej rację. - Bo naród dzieli i konfliktuje! To zwrot wsteczny, zdaje się, że już o tym wspominałem, anachroniczny, nie przystoi światłej inteligencji. Proszę sobie wyobrazić, jaka gigantyczna to różnica. Naród a społeczeństwo?! Naród?- lekceważąco wyduł usta i uniósł ramiona. I od razu zadał pytanie, na które sam odpowiedział. – Cóż to znaczy naród? To formacja historyczna, przestarzała i zbędna. Dzieliła Europę na wiele nacji. Powodowała nieustanne wojny, podboje, mordy i zabory. Pora z tym skoczyć. Nie będzie już w Europie narodu. Będzie jedno, wielkie europejskie społeczeństwo. Społeczeństwo!- wybił. - Czy czujecie państwo w tych słowach agresję? nienawiść? inwazję? terror?! – objął szeregi intelektualistów bystrym spojrzeniem.

- Nie! – wyrwała się pierwsza redaktor Jeżozwierz.

- Oczywiście, że nie – spokojniej dodała radna, a zarazem mecenaska Stulgęba.

- Ja czuję zjednoczenie i jedność – uzupełniła radna Ciołek.

- Nawet, powiedziałabym, miłość! – wbiła się klinem feministka Czupryło.

Redaktor Jeżozwierz aż zatkanął.

- Miłość? – tego się nie spodziewała.

- Tak, Niusiu, miłość. Bo będzie to społeczeństwo obywatelskie, rozumiesz? – przekonywała feministka. – Każdy będzie kochać każdego, mężczyzna mężczyznę, kobieta kobietę. Nowy, fantastyczny świat. Bez wrogości, agresji i nienawiści. Tylko tolerancja. Feministki będą wchodziły w związki z innymi feministkami. Mężczyźni będą się kochać z innymi mężczyznami, powstanie nowy, postępowy typ rodziny. Będą setki,

tysiące, a potem miliony takich rodzin, I te rodziny będą mogły adaptować dzieci. I wychowywać zgodnie ze swoją odmienną kulturą. To będzie prawdziwy świat tolerancji i zgody obywatelskiej.

Redaktor Jeżozwierz, przecież umysł jasny i nowoczesny, dopiero teraz zaskoczyła, że nie tylko społeczeństwo, ale i obywatelskie. I że miłość i tolerancja. I że w ogóle granice wolności znacznie się poszerzą. Coś dla niej. Od dawna nie miała mężczyzny. W społeczeństwie obywatelskim z pewnością go znajdzie. A może i kobiety? – nagle się oblizła. Poznam nowe doświadczenie – pomyślała. I poczuła się obywatelką.

Już nie miała cienia wątpliwości, że społeczeństwo obywatelskie jest jedyną reakcją na obskurantyzm, wstecznicstwo i prostactwo. Będzie wyzwolona. Więc zawołała:

- Tylko społeczeństwo obywatelskie!

- Właśnie - przyznał jej rację profesor. – Co za gigantyczny krok w przeszłość. Co za postęp! Koniec waśni, wojen, podbojów. Koniec niezgody i antagonizmów. Koniec pogardy, uprzedzeń i wykluczenia.

Intelektualiści zgodnym chórem pokiwali głowami.

- Popatrzcie, drodzy państwo – mówił profesor – jak na naszych oczach rozkwita społeczeństwo obywatelskie. Ileż nowych koncepcji, pomysłów i sugestii. I o to nam chodzi. Uwalniamy się od brzemiennej skutków słowa Polak, Polska, naród...

- A historia? – z desperackim pytaniem wyskoczyła redaktor Jeżozwierz. – Co będzie z historią?

- Na to pytanie właśnie czekałem, pani Niusiu – pieszczotliwie zwrócił się do niej profesor. – To bardzo dobre pytanie – podkreślił. – Oddaje głębię problemu. Znam naturalnie na nie odpowiedź. I od razu odpowiadam. Historia jest zbędna, bo nas cofa, hamuje rozwój, odwraca uwagę od bieżących spraw. Ale jutro zajmie się tym szczegółowo dr hab. Hiacynt Ślizg, specjalista od dawnych czasów – skierował wzrok w stronę prezesa spółdzielni mieszkaniowej. A potem znowu objął troskliwym spojrzeniem całe audytorium. I mówił: - Państwo jesteście na pierwszej linii frontu o nową rzeczywistość. Taka będzie rzeczywistość, jaką ją my, uczeni i intelektualiści stworzymy. I to na długie lata. Nasza partia, Kariera i Sukces, przejmuje władzę. Za trzy tygodnie zaczniemy rządzić. A co to znaczy rządzić? – podniósł wysoko głowę.

Już wiedzieli, że jak prof. Pszczoła podnosi wysoko głowę, to padnie kolejna złota myśl. I padła:

- Rządzić to nie znaczy mieć w swojej ręce tylko władzę polityczną, Sejm, Senat, Parlament, wojsko, policję, a nawet pałac prezydencki...

- A co? – rzuciła dociekliwe pytanie redaktor Jeżozwierz.

- Rządzić, proszę państwa, to znaczy mieć władzę nad językiem i jego przekaznikami. Język musi być nasz! – wałnął pięścią w stół.

- Ach, tak!? – skrzętnie zanotowała redaktor Jeżozwierz, a wraz z nią cała elita.

- Nasz! – powtórzył profesor. – Czyli postępowej inteligencji, uczonych, intelektualistów, pisarzy i naszych działaczy partyjnych... Bo dzisiaj nie armaty, bomby i satelity - wykladał - nie broń i bataliony wojskowe decydują o umysłach ludzkich. Nawet nie bogactwo... – rzucił pytające spojrzenie w głąb audytorium.

Sala nie drgnęła.

- Tylko? – honor audytorium ratowała jak zwykle aktywna umysłowo redaktor Jeżozwierz. Nawet feministka nie nadążała za nią.

- Tylko strategia językowa! – huknął profesor.

Znowu zaszeleściły kartki, poszły w ruch pióra, długopisy i magnetofony. Wszyscy notowali.

- A my - wzywał do czynu profesor - my jako straż nowej rzeczywistości, winniśmy tę strategię wpajać naszemu społeczeństwu

- Czyli co mamy robić? – radykalizowała spotkanie red. Jeżozwierz. – Usuwamy ze słownika niepotrzebne, konfliktogenne terminy?...

- Prosimy o przykłady – włączyła się żona Prezydenta. I spojrzała na męża. Natychmiast zaakceptował mrugnięciem oka jej odwagę.

- Pani redaktor wspomniała o historii – już dawał przykłady profesor. - Tym, jak powiedziałem, zajmie się na seminarium, dr hab. Ślizg. Ja pragnę zwrócić państwa uwagę na nadużywanie innego terminu

- Jakiego?- z oburzeniem spytała redaktor Jeżozwierz, czując, że wrogie siły obskurantyzmu utkały jakąś prowokację.

- Kresy – mściwie burknął profesor.

- Kresy? – na twarzach intelektualistów odbiła się głęboka i szczerza niewiedza. – Jakie kresy? Co za kresy? – biło zdumienie, że coś takiego, jak Kresy, istnieje.

- Tak, kresy, proszę państwa – wyjaśniał profesor. – Otóż pozostał jeszcze pewien odłam naszego społeczeństwa, niewielki wprawdzie, wymierający, trumienny, rzekłbym, jednak bardzo kłótlivy i agresywny, który nie może się wyzwolić od tego bękarta ciemności. Bo tak to z całą stanowczością należy nazwać - bękarta ciemności.

- Słusznie! – wkroczyła do akcji znana pisarka powieści uniwersalnych, Tamara Pilarczuk, która dotychczas bardzo skrupulatnie notowała złote myśli profesora. I była pod ich wrażeniem. – Są obce, wrogie siły – z odrazą mówiła - które nam zatrują życie. – Nadużywają tego pojęcia, by jątrzyć, dzielić i ranić naszych braci ze wschodu. A ja właśnie piszę postępową powieść, która raz na zawsze odkłame świadomość... - W tym

momencie się zawahała, czy użyć pojęcia „świadomość obywatelską”, czy raczej „świadomość zbiorową”. Ale natychmiast, jako błyskotliwa myślicielka, odrzuciła „świadomość obywatelską”, ponieważ, jak wiadomo, świadomość obywatelska nie może być zakłamana, a więc fałszywa. Dlatego dziarsko uzupełniała – piszę więc powieść, która odkłamie świadomość zbiorową. I da odpór tym podłym broszurom i agitkom, które na rynku księgarskim się pojawiają, produkowane, rzecz jasna, przez wsteczne i zacofane grupki gryzpiórków ze skostniałego, obskurantycznego obozu konserwatystów, chadeków i klerykałów. Udowodnię, że nie było żadnych kresów, a bogobojne ludy wschodu nigdy nie popełniały żadnych zbrodni, co im bezzasadnie zarzucają eksternistyczne elementy w naszym piśmiennictwie, a przeciwnie, ludy te tylko cierpiały i ponosiły straty moralne z powodu naszej, niestety, agresji i barbarzyństwa. Dlatego jak najszybciej należy się pozbyć słowa *polak* i *kresy*. A że mam przyjaciół w naszych wielkich opiniotwórczych redakcjach „Mądry i Zaufani” i „Tylko My” oraz w zaprzyjaźnionych redakcjach Zachodu, szybko wyprę ze świadomości zbiorowej ten kompromitujący obraz dawnych czasów. Bo nie możemy tolerować obecnej niesłusznie podsycanej nienawiści do bratnich obywateli za granicą... choć prawdę mówiąc i ten termin... granica – należy wyprzeć z naszej świadomości... świat postępu i demokracji nie zna granic... w każdym razie pojęcia, które rażą, dręczą i jątrzą, a kresy jątrzą, należy natychmiast wyeliminować z naszych słowników... - popatrzyła zwycięsko na areopag mądrości.

- W czym rzecz? – cicho spytała, nachylając się w stronę prof. Bzika red. Jeżozwierz. – Co to za kresy? - nie mogła pojąć.

Prof., Bzik wycedził przez zęby:

- To wrogi społeczeństwu obywatelskiemu twór reakcji byłych właścicieli ziemskich, którzy zmuszali do niewolniczej pracy dzielny, zaprzyjaźniony dziś z nami dawny lud Rusinów, Białorusinów i Litwinów. Naturalnie, obecnie mieszkańców zaburzańskich krain.

- Ach, tak?! – redaktor Jeżozwierz była zaskoczona. – Nigdy nie słyszała o żadnych kresach.

Skonfundowana dopytywała:

- I co? Te kresy dzielą?

- Jasne, że dzielą – mówił z zaangażowaniem profesor Pszczoła, jakby słysząc wątpliwości cenionej pani redaktor. – Całkowicie się zgadzam z naszą wielką pisarką, że pora nadać nowy sens zdarzeniom... nową nazwę... nowym, postępowym językiem o tym mówić... pokazywać, nagłaśniać... Nie wątpię, że pani Tamara napisze słuszną ideowo powieść popularyzującą nasz obywatelski i demokratyczny punkt widzenia. Takich pisarzy nam trzeba... Nagłośnimy ją i zgłosimy do nagrody „Złotego Pióra Postępu”, przyznanego przez „Gazetę Wybiórczą”. I postaramy się, by wygrała, wszakże mamy tam samych swoich ludzi. Nie pozwólmy, by narzucano nam obce standardy zacofania i gnuśności intelektualnej... Nasza prasa, radio i telewizja powinny unieszkodliwiać, jak słusznie pani Tamara nazwała, agitki i broszury propagandowe gryzpiórków...

- Albo przemilczeć – dodała feministka Czupryło, ceniona z zawodu krytyczka literacka.

- Tak, przemilczeć! - wsparła ją natychmiast redaktor Jeżozwierz.

- Nie da się! – usłyszała dziwny głos.

- Jak to się nie da? – rzuciła pogardliwie. – Ja sama już wiele rzeczy przemilczałam. I dało się! – chępiła się.

- Ale tego się nie da!

- Jakże się nie da? – buntowała się, ale nagle poczuła, że coś dziwnego zachodzi w audytorium. Wszystkie głowy były skierowane w jej stronę, a na twarzach rysowało się zdziwienie, by nie powiedzieć, zaskoczenie. Na dodatek zobaczyła, jak przed jej oczami przesuwa się zapalona świeczka, a płomyk chybotaje. Patrzyła na nią zdumiona, nie wiedząc, co to wszystko znaczy. – Boże, ja rozmawiam sama z sobą - była zdruzgotana, a na dodatek przeraziła się, że użyła słowa „Boże”, które też jest już z pewnością szkodliwe.

- Nie sama z sobą, tylko ze mną – usłyszała głos świecy, a płomyk jeszcze bardziej zachybotał.

- Co jest? – redaktorka pragnęła otrząsnąć się z wrażenia. Ale uparta świeczka wciąż przed nią się przesuwała. – A głos sączył do ucha nienawiść:

- Ty zdiro! – usłyszała. – Chcesz przemilczeć zbrodnie?

- Chyba śnię!/? No, nie, to nierealne?! – dziennikarka chwyciła się za głowę. – Tamara, Kazia? – wezwała na pomoc feministki.

- Źle się czujesz? – już nachylała się ku niej pisarka, widząc, jak redaktor Jeżozwierz zmienia się na twarzy. To blednie, to czerwienieje, a jej usta przybierają barwę sino-czarną i drżą.

- Co ci dolega, Nusia? – troskliwie pytały feministki.

- Nie widzicie?! – redaktorka pokazywała ręką świeczkę.

- Co nie widzimy? – zagadnęły.

- No, ją? Tam... płynie... – śledziła ruchy oddalającej się świeczki, aż zniknęła.

Wiele dni potem, Wysoki Sądzie, gdy wyjaśniano tę sprawę w odpowiednich komórkach, redaktor Jeżozwierz nie była już pewna, czy to była świeczka, czy tylko złudzenie optyczne. Odpowiadała wymijająco. Ale teraz uświadomiła sobie, że może narazić się na kpiny i śmiech, więc obróciła wszystko w żart. I też odparła wymijająco:

- Och, chciałam sprawdzić waszą czujność obywatelską – powiedziała z rozbijającą szczerością, wycierając pot z czoła. I odetchnęła, widząc, że świeczki już nie ma.

Ale spojrzmy, co się dzieje z profesorem. Postanowił przeprowadzić ostry atak na fałszywą świadomość. Odkasznął, nabrał powietrza i miał już na języku słowa, które należałoby uspić, bo niszczą społeczeństwo obywatelskie. Już się delectował swoim zwyczajem, że zaraz padną pod skalpelem takie pojęcia jak mord, rzeź, masakra, męczeństwo, zagłada, i najgorsze z nich, absolutnie nie pasujące do nowych czasów, bezpodstawne i historyczne - ludobójstwo. Mamy wiek XXI, tłumaczył w duchu, a tu takie naleciałości. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zdemaskować też takich pojęć jak Lwów, Wilno, Kowno, Tarnopol, Krzemieniec, Stanisławów, Stryj, Buczacz, Kołomyja, Drohobycz, bo drażnią i nastawiają negatywnie do siebie społeczeństwa obywatelskie kilku krajów. Zresztą, miast takich już nie ma. A ich imiona tylko jak duchy straszą. Pod gilotynę pójda później, postanowił. Najpierw uporam się z: „ludobójstwem na kresach”, bo ta zbitka jest najgroźniejsza. Wywołuje agresję, uprzedzenia i wrogość. No i te straszne liczby, dwieście albo i trzysta tysięcy wymordowanych, jak mówią fałszywie, Polaków. Jakiż to balast. Tylko język jest w stanie się z tym uporać. I już otwierał usta, by huknąć z całej siły:

- Eliminujemy „ludobójstwo” z naszego słownika. Oparł się obiema rękami o mównicę, podniósł najwyżej jak tylko mógł głowę, co zapowiadało nową sensację, gdy usłyszał:

- Milcz!

- Co proszę? – automatycznie zareagował.

- Milcz, gadzie! – znowu usłyszał.

Obejrzał się, ale nie zauważył niczego szczególnego.

Spojrzał po sali, wszyscy skrupulatnie notowali. Nawet profesorowie: Cudrak i Pingwin, Bzik i dr hab. Ślizg, wojewoda Migotek i sam prezydent Rój. – „Hm!” - zamyślił się.

- Żadne hm, baranie! – przed nim stał wielki, czerwony kogut. A właściwie nie stał, tylko wisiał w powietrzu. Jakby był zainstalowany w przestrzeni. Dziób wymierzył prosto w jego lewe oko i zastygł.

Zdezorientowany profesor bąknął:

- Czego chce?

Audytorium podniosło głowy i wyglądało jak umarła klasa Kantora. Martwe spojrzenia. I paraliż. Chyba mam zmaczenie wzroku, pomyślał. I rzucił w światło kręgi zdanie:

- Nie było żadnego ludobójstwa!

- Co?! – zapiał kogut. – Nie było ludobójstwa?! - I złowieszco syknął: - Uprzedzałem, świński ryju, że nie skończysz tego przemówienia. A ty nadal bredzisz i łiesz jak z nut. Wstydu nie masz, honoru żadnego, tuku!

Nie dam się wrażyć siłom! – profesor twardo stał na gruncie realizmu.

A na sali panowała taka straszna cisza, że słuchacze usłyszeli ciche brzęczenie przelatującej nad głowami muchy i skierowali na nią swoje spojrzenia. Mucha kilka razy okrążyła mównicę, usiadła na mikrofonie i wbiła ciemny wzrok w profesora. I prosił sobie wyobrazić, Wysoki Sądzie, profesor dostrzegł to mroczne spojrzenie i zamarł. Ale nie zapomniał o kogucie. Gdzie zjawa? Ale koguta nie było. Ciężko westchnął i pomyślał, że pora odpocząć. Spojrzał na zegarek. Wykład trwał już godzinę. A tu jeszcze...

- Mucha!? – jakby sam siebie usłyszał. To było jego wewnętrzne pytanie, charakterystyczne dla umysłów wyższych. Prostak by rąbnął – Mucha! – I syknąłby: - Spierdalaj! – A profesor, nie. Stał na mównicy i analizował. Mucha, nie mucha. A jeśli nie mucha, to co. I czego ode niego chce. Mucha wprawdzie była normalna, może tylko nieco większa od zwykłej muchy, bardziej czarna, nawet granatowa, ale nie to profesora zdumiewało. Tylko to nieruchome, lodowate spojrzenie, skierowane tym razem w sam czubek nosa. Jakby mucha miała zamiar na nosie lądować. O, nie, moja panno, prowadził z nią intelektualny spór. Nie pozwolę na to. I zamachnął się, by ją odgonić. Ale mucha, o dziwo, nawet nie drgnęła. - Co jest? – gniewnie rzucił. - Natrętna gnida!

- Tylko nie gnida! – mucha obraziła się, oderwała się od mikrofonu i zaatakowała. Profesor poczuł gwałtowne uderzenie w czubek nosa, a potem w ciemność. Uniosła się nad nim i zawisła w powietrzu, jakby zastanawiając się, w który czuły punkt uderzyć. I z całych sił rąbnęła w ucho. A potem w oko. I w drugie oko. Wbiła się w powiekę, w wargę i w szczękę. A profesor machał ramieniem, by ją zabić, ale muchy już nie było, natomiast uruchomiona dynamiką dłoń wymierzyła profesorowi sążniste policzek.

Aż audytorium zachnęło:

- Och! – poszedł jęk po sali.

- Ty ćwoku! – usłyszał profesor i zobaczył jak lotem koszącym mucha mierzy prosto w źrenicę. Nie zdążył zamknąć oczu, gdy poczuł bolesne pieczenie.

- Odwołaj, hieno, swoje brednie! – po chwili usłyszał brzęczenie w uchu.

- Bo co?! – bronił się ostatkiem sił, machając rękami. Wyglądał jak wiatrak ośmioramienny. Walał na odlew na wszystkie strony, serce skakało nieprzytomnie, tętno się wzmogło, ciśnienie skoczyło, a on poczuł, jak ciemne sztormy wlewają się do mózgu.

I wtedy stało się najgorsze. Mucha z wściekłością poderwała się w powietrze, a profesor widząc resztkami wzroku, jak pikuje, zasłonił się obiema rękami, niestety, nie zamykając ust. A ona wpadła mu prosto do gardła. I profesor zaczął się dusić.

Wszyscy widzieli, jak się miota, charczy i pluje, ale nikt nie był w stanie udzielić pomocy. Byli przyrośnięci do ławek. Nawet Prezydent. A profesor padł na podłogę i w torsjach konał.

Ale nie konał.

Ktoś jednak zdążył zawiadomić karetkę pogotowia i profesor został uratowany. Późniejsze badania wykazały, że wyjątkową trzeźwością umysłu odznaczył się portier, który akurat niósł ważną dla Prezydenta depeszę i widząc sparaliżowaną salę i miotającego się po podłodze profesora, wezwał pomoc.

**Stanisław Srokowski,**

[www.srokowski.art.pl](http://www.srokowski.art.pl)